

## BEZDROŻA POLSKIEJ POLITYKI ZAGRANICZNEJ

18-8-2006

<http://www.radiopomost.com/index.php?option=articles&task=viewarticle&artid=1140&Itemid=3>

przez Zdzisław M. Rurarz

Niedługo minie rok od sprawowania władzy przez PiS, a pozytywnych efektów tego nie widać. A jeśli nawet są, jak w przypadku gospodarki, to jest to spadek po poprzednich rządach.

W dziedzinie polityki zagranicznej natomiast, nie tylko nie obserwuje się zmian na lepsze, ale przeciwnie - zmiany idą w złym kierunku.

Główną winę za to ponosi prezydent Lech Kaczyński, przynajmniej formalnie, gdyż współrządząc Polską ze swoim bliźniaczym bratem, przywódcą PiS i premierem, może nawet nie on ma w dziedzinie polityki zagranicznej decydujący głos, a starszy o pół godziny brat Jarosław.

Prezydent bowiem, mimo że władzy za wiele nie ma, gdyż Konstytucja z 2 kwietnia 1997 r. stworzyła rządy parlamentarno-gabinetowe, a nie prezydenckie, to jednak nie można powiedzieć, że prezydent jest tylko figurantem. Jako "najwyższy przedstawiciel Rzeczypospolitej Polskiej" oraz "strażnik suwerenności i bezpieczeństwa państwa", prezydent ma decydujący głos w niektórych dziedzinach jego funkcjonowania. Artykuły 133, 134 i 135 Konstytucji, dotyczące polityki zagranicznej i obronności państwa, wyraźnie określają jego kierownicze uprawnienia w tych dziedzinach. Co więcej, jeśli nawet musi on w dziedzinie polityki zagranicznej "współdziałać" z premierem i "właściwym ministrem", czyli ministrem spraw zagranicznych, to w aktualnej sytuacji w Polsce, gdzie prezydent i premier wywodzą się nie tylko z tej samej partii, ale dodatkowo są jeszcze braćmi, "współdziałanie" prezydenta z premierem powinno być zwykłą formalnością.

PiS, pchając się do władzy, miał niezbyt jasny program działania na wypadek jej zdobycia, ale akurat w dziedzinie polityki zagranicznej był on jaśniejszy od pozostałych programów odcinkowych.

Zadaniami priorytetowymi, nawet jeśli precyzyjnie nie tak je ujęto, miały być:

- sojusz z USA;
- ochłodzenie stosunków z Rosją;
- dalsze zacieśnianie więzów z Ukrainą;
- podkreślanie nadrzędności interesów narodowych nad ponadnarodowymi w Unii Europejskiej;
- traktowanie stosunków z Niemcami z dużą rezerwą.

Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że polityka zagraniczna PiS jest radykalnie odmienna od SLD-owskiej. W rzeczywistości tak jednak nie jest, ale nie to jest najważniejsze.

Najważniejsze jest kto naprawdę jest autorem PiS-owskiej polityki zagranicznej, tak jak przedtem takie pytanie dotyczyło wszystkich innych rządów pookragłostołowych. Tylko naiwni mogą uwierzyć, że Moskwa, która miała pełną kontrolę nad wszystkim co się w Polsce działo w latach 1944-1989, raptem z tej kontroli zrezygnowała. Zmieniły się co najwyżej instrumenty i metody kontroli, ale pozostała ona po staremu Tak na przykład, Polacy w swej większości myślą, że tak nie jest i że ich członkostwo w NATO, wbrew woli Moskwy, jest tego najlepszym dowodem. Tymczasem prawda jest taka, że pierwsze kroki w kierunku przystąpienia do NATO podjęły Węgry, mówiąc w imieniu wszystkich członków Układu Warszawskiego. Konkretnie mówiąc, węgierski minister spraw zagranicznych i przywódca partii komunistycznej Gyula Horn, składając 22 lutego 1990 r. wizytę w Bonn oświadczył, iż jest "bardzo prawdopodobne, że kraje Układu Warszawskiego przystąpią do NATO". ZSRR nie tylko "nie zmył mu głowy" za takie oświadczenie, ale Gorbaczow, rozmawiając 19 maja 1990 r. z amerykańskim Sekretarzem Stanu Jamesem Bakerem powiedział, iż "porozmawia z prezydentem Bushem (seniorem) na temat przystąpienia ZSRR do NATO" (jak potem Baker napisał, USA były gotowe wyjść naprzeciw takiej inicjatywie). Gorbaczow z Bushem-seniorem jednak nie porozmawiał na temat przystąpienia ZSRR do NATO, a Układ Warszawski został przez Moskwę rozwiązany 1 lipca 1991 r. (faktycznie istniał do 23 grudnia 1992 r., do dnia ratyfikacji przez nowopowstałą Rosję porozumienia o jego rozwiązaniu). 25 grudnia 1991 r. został natomiast rozwiązany ZSRR i sprawa akcesji b. "wspólnoty socjalistycznej" do NATO chwilowo przycichła. Ale niezupełnie, gdyż Borys Jelcyn, prezydent odradzającej się Rosji, już wkrótce spadkobierczyni polityki zagranicznej ginącego ZSRR, w rozmowie 16 grudnia 1991 r. ze wspomnianym powyżej J. Bakerem, "wyraził życzenie" swojego kraju, jak i pozostałych rodzącej się WNP, Wspólnoty Niepodległych Państw, przystąpienia do NATO. Na tym jednak skończyło się, jeśli nie liczyć przysłanego...zwykłą pocztą z Moskwy do Brukseli "podania" Rosji o przyjęcie jej do NATO (Moskwa wyparła się potem wysłania takiego listu!).

Rosja, w każdym razie, o akcesji do NATO więcej już nie mówiła, ale za to zachęcała pocichu Polskę, Czechosłowację i Węgry, żeby rozpoczęły starania o wejście do NATO. A kiedy sprawy tych starań zaszły już dość daleko i zrobiło się wokół nich sporo szumu, to Jelcyn, składając wizytę w Warszawie, 23 sierpnia 1993 r. wyraził zgodę na przystąpienie Polski do NATO! Jak to, zgoda taka była Polsce potrzebna, suwerennemu państwu? Ale i to jeszcze nie wystarczało, żeby do akcesji "trójki" doszło, gdyż dopiero na helsińskim szczycie Clinton-Jelcyn 20-21 marca 1997 r. dobito targu pomiędzy USA a Rosją w tej sprawie. Tuż przedtem, 14 marca 1997 r., Rada NATO zapewniła Moskwę, że Sojusz w b. krajach członkowskich Układu Warszawskiego, w razie akcesji niektórych z nich do NATO, nie będzie w nich stacjonowało swoich wojsk, ani rozmieszczało broni nuklearnej. Na tym nie koniec, w zamian za zgodę Rosji na akcesję "trójki" do NATO, Jelcyn uzyskał zgodę Clintona na ustanowienie "specjalnych stosunków" pomiędzy Rosją a NATO, które wkrótce ujęto w "Karcie Rosja-NATO", uroczystie przyjętej 27 maja 1997 r. w Paryżu. Teraz już, będąc jedną nogą w NATO, Rosja ostatecznie pozwoliła "trójce" zostać jego członkami.

Stąd też różne przechwałki, jak m. in. amerykańskiej Polonii, że to ona walnie przyczyniła się do wejścia Polski do NATO, należy włożyć między bajki.

I tamte doświadczenia z niedalekiej przeszłości są aktualne do dnia dzisiejszego. Dawni sojusznicy Moskwy nie mogą zrobić kroku w swoich stosunkach ze światem zewnętrznym bez jej zgody!

Jeśli więc PiS ma jakieś pomysły na niezależność Polski w jej w stosunkach ze światem zewnętrznym, to musi pamiętać o tym, że bez uprzedniej akceptacji tych pomysłów przez Moskwę jest to co najmniej wysoce ryzykowne przedsięwzięcie.

W związku z tym wspomniane powyżej PiS-owskie "priorytety w polityce zagranicznej Polski", jeśli nie miały wcześniejszej akceptacji Moskwy, są co najmniej dziwne. Moskwie bowiem na takim właśnie sformułowaniu "priorytetów" mogło zależeć, gdyż wtedy bezdroża polskiej polityki zagranicznej byłyby jej na rękę. Jeśli jednak tak nie było i "priorytety" są wyłącznie pomysłem PiS czy raczej braci Kaczyńskich, to świadczy tylko o tym jak są oni nieobeznani w realiach współczesnego świata!

Tak na przykład, co się tyczy idei sojuszu Polski z USA, to chyba PiS powinien wiedzieć, że nie Polsce pierwszej wypada z nią wychodzić. USA bowiem same dobierają sobie sojuszników, a nie ktoś im taką ideę narzuca. Od lat też wiadomo, że poza wielostronnymi sojuszami, jak m. in. NATO, sojusz dwustronny jest w USA tylko wyjątkowo praktykowany. Nawet w czasie II wojny światowej, choć de facto USA miały z Wielką Brytanią ścisły sojusz dwustronny, to jednak de iure nigdy go nie miały. Po II wojnie światowej, aczkolwiek w warunkach daleko nietypowych dla sojuszu dwustronnego, USA w 1951 r. zawarły go z Japonią, a w 1953 r., tuż po wojnie koreańskiej, sojusz dwustronny zawarły też z Koreą Południową. Faktyczny, ale nigdy nie sformalizowany sojusz dwustronny USA mają także z Izraelem (gwarantując mu jednostronnie "bezpieczeństwo i dobrobyt").

We wszystkich innych przypadkach USA mają stosunki sojusznicze z niektórymi krajami wyłącznie w ramach wielostronnych układów, jak np. w przypadku NATO. PiS (czy bracia Kaczyńscy) powinni też wiedzieć, że Polska w polityce zagranicznej USA nie zajmuje ważnego miejsca i dlatego nie są one zainteresowane w zawieraniu z nią sojuszu dwustronnego.

Stąd też żadne polskie zabiegi w tym kierunku nic tu nie działają. Natomiast narobią w Polsce tylko "złej krwi", o co właśnie może Moskwie chodzić!

Skoro USA odmawiają niedoszłemu sojusznikowi zniesienia wiz wjazdowych dla jego obywateli, albo Polska może odmówi USA umieszczenia na jej terytorium ich "antyrakietowej tarczy" na zasadach eksterytorialności, to o jakim sojuszu dwustronnym między obu krajami można tu mówić?

Bardziej złożony jest natomiast "priorytet" faktycznego ochłodzenia stosunków polsko-rosyjskich. Kandydując na prezydenta, Lech Kaczyński mówił w czasie kampanii wyborczej, iż stosunki Polski z Rosją sprowadzi do "właściwych proporcji" i że skończy z praktyką, że polski prezydent często odwiedza Moskwę, podczas gdy rosyjski ledwie zawadza o Warszawę.

Zapowiadając to stwierdził, że on pierwszy do Moskwy nie pojedzie, dopóki Putin nie przyjedzie z wizytą do Warszawy, a w ostateczności - dodał - może go spotkać gdzieś w trzecim kraju.

Takie postawienie sprawy, zwiastujące nowe stosunki z Rosją, jak równego z równym, może podobać się Polakom, ale pomijając już banalny powód zamierzanej ich zmiany, trąci brakiem realizmu. Rosja - należy pamiętać - w jakimkolwiek nie byłaby wcieleniu, na przestrzeni polskich dziejów miała na nie wpływ jak żaden inny kraj. Bez jej zgody i aktywnego uczestnictwa, Polska nie zniknęłaby z mapy świata w końcu XVIII wieku i nie odrodziłaby się też w 1918 r., gdyby Rosja nie była osłabiona I wojną światową i domową. Polska może też uniknęłaby swojego losu, gdyby nie pakt pomiędzy hitlerowskimi Niemcami i bolszewicką Rosją, a jeśli nawet tak nie byłoby, to z II wojny światowej mogła wyłonić się inaczej, niż to było po zajęciu jej przez Armię Czerwoną. Dominacja radziecka wreszcie w powojennej Polsce tak głęboko odcisnęła się na całokształcie jej państwowości, że jeszcze długo nie wyzwoli się ona z

ponad 45-letnich wszelkiego rodzaju "układów", zwłaszcza że nie ma całkowitej pewności, iż nastąpił ich definitywny koniec.

Tym niemniej, jeśli już Polska ma istotnie zmienić swoją politykę wobec Rosji, to powstaje pytanie, czy aby ma wizję zmian i czy jest w stanie wprowadzić je w życie?

Prawdą jest oczywiście, że b. prezydent Kwaśniewski zbyt często jeździł do Moskwy, podczas gdy rosyjscy prezydenci, najpierw Borys Jelcyn, a teraz Władimir Putin, byli

tylko jeden raz w Warszawie. Publiczne jednak odgrażanie się przez prezydenta Kaczyńskiego, że on ten stan rzeczy zmieni, wygląda na fanfaronadę! W dyplomacji jest bowiem zwyczaj, że obejmujący urząd prezydent, jeździ pierwszy odwiedzać swoich odpowiedników, a nie oni go odwiedzają! A tak na marginesie, to wielkie mocarstwa, do których Rosja należy, podczas gdy Polska nie, wizytami głów państwa nie szastają, a jeśli już dochodzi do "dwustronnych szczytów", to zamykają się one w gronie wielkich mocarstw. I niemocarstwa, jak Polska, muszą się z tym pogodzić.

Szkoda więc, że prezydent Kaczyński do Moskwy nie jedzie, a wybiera się do Izraela. Gdyby był on choć trochę realistą, to zamiast dąsów i niepoważnych odzywek pod adresem Putina, swoją pierwszą wizytę zagraniczną powinien był złożyć w Moskwie, a nie Waszyngtonie!. Nie tylko Moskwa jest pod bokiem, a waszyngton daleko, ale w stosunkach polsko-rosyjskich nagromadziło się zbyt wiele spraw, które, jeśli nie będą szybko rozwiązane mogą mieć trudne do wyobrażenia konsekwencje. Przecież Polska, która "wisi" na dostawach rosyjskiego gazu ziemnego i ropy naftowej, ma pod tym względem bardzo niepewną sytuację, będąc faktycznie na łasce i niełasce Rosji, co zapewne jej odpowiada, ale nie Polsce! Istniejący stan rzeczy, zwłaszcza od strony traktatowej, należałoby zatem zmienić, ale tego nie można uczynić omijaniem Moskwy! W Moskwie zresztą jest o wiele więcej spraw do omówienia. Zbyt wysoka jest nierównowaga w polsko-rosyjskiej wymianie handlowej, którą Moskwa jeszcze pogłębia, zakazując importu polskiego mięsa. Niezrozumiałe jest też jej stanowisko w ostatecznym wyświetleńiu zbrodni katyńskiej, a już na skandal zakrawa ustanowienie w Rosji 4 listopada jako Dnia Jedności Narodowej z okazji kapitulacji "polskich okupantów" Kremla w 1612 r.!

Z Moskwą jest więc o czym mówić, więcej niż z jakimkolwiek innym krajem. Jeśli ona tego nie chce z jakichś powodów, to nie należy jej tego ułatwiać dziecinnymi wręcz dąsami!

W dyplomacji nie ma honoru, a są tylko interesy. Chyba że polska polityka zagraniczna jest tylko pozornie polską.

Przechodząc do Ukrainy, to niech wreszcie Polska wybije sobie z głowy, że kraj ten jest w pełni suwerenny i niepodległy! Ale nawet zakładając, że jest, to przecież Polska nie może być dla Ukrainy żadną alternatywą wobec Rosji! A że Moskwa chce prowadzić tutaj jakąś swoją grę polskimi rękami, to niech przynajmniej Warszawa nie udaje, że tak nie jest! Jeśli zaś nie udaje i pozory bierze za rzeczywistość, to tym gorzej dla niej. Czas najwyższy skończyć z giedroyciowymi bredniami, że Polska powinna być "Piemontem Ukrainy"! Niech Polska nie miesza się do "rosyjskiego podwórka", gdyż tylko źle na tym wyjdzie.

Kolejny "priorytet", traktujący o stosunkach Polski z Unią Europejską, to o ile słuszne jest stanowisko Polski, że integrująca się Europa powinna być "Europą ojczyzn", a nie "Europejską ojczyzną", to z tego jeszcze nie wynika, iż powinna ona gardłować w tej sprawie. W jej interesie powinno być "siedzenie cicho" w Unii, jeśli tylko materialnie dobrze na tym wychodzi. W

przeciwnym zaś wypadku, przynależność do tworu, który ani nie stworzy "Europy Ojczyzn", ani tym bardziej "Europejskiej Ojczyzny", jest bez sensu. A gardłować Polska powinna wtedy, kiedy UE znów przystąpi, po krachu jej Konstytucji, do debat nad jej przyszłością. Ale wtedy trzeba mieć przemyślaną strategię postępowania, a nie improwizowaną.

Ostatni "priorytet", stosunki polsko-niemieckie, to niezwykle złożony temat od kiedy Niemcy zjednoczyły się (dzięki Moskwie) i weszły na drogę zbliżenia z Rosją.

Niemcy są przede wszystkim głównym partnerem Polski na odcinku gospodarczym i nie wskazuje na to, że ten stan rzeczy szybko ulegnie zmianie.

Biorąc w dodatku pod uwagę szczególną "delikatność" stosunków polsko-niemieckich, spuściznę II wojny światowej, z której obie strony wyniosły wiele ran i urazów, z których jeszcze nie wyleczyły się, zwłaszcza Polacy, których wielokrotnie więcej zginęło z rąk niemieckich, niż odwrotnie i których Niemcy zrujnowali. Tym niemniej, obie strony muszą wykazać wiele taktu i wzajemnego wyrozumienia, żeby nie dać ponieść się namiętnościom! Okolicznością sprzyjającą dla nie zaogniania wzajemnych stosunków jest fakt, że władze po obu stronach rekrutują się z powojennego pokolenia, które nie powinno kierować się emocjami w rozwiązywaniu problemów spornych, sięgających swymi korzeniami osobistych przeżyć i wspomnień.

Trzeba też z góry założyć, że Niemcy, którzy ze znanych względów o swoich wojennych krzywdach, choć przez nich zawinionych, zbyt wiele nie mówili, co nie oznaczało, że krzywd takich nie doznali i że teraz nie mają prawa o nich mówić. Szczególnie boleśnie, choć nie wszyscy, Niemcy odczuwają utratę "ziem wschodnich" na rzecz Polski i przymusowe ich wysiedlenie z tych ziem. Każdy, kto miał okazję stykać się z Niemcami, nawet z tymi z b. NRD, wie o tym doskonale.

Z drugiej strony, jeśli istotnie stosunki polsko-niemieckie mają ulec pełnej normalizacji, to nie można Niemcom odmawiać prawa do mówienia o tym fakcie, nawet jeśli jego prezentacja poważnie rozmija się z prawdą. Polacy, zwłaszcza że nie oni odebrali Niemcom "tereny wschodnie", tylko Wielka Trójka, byłiby nierozsądni nie biorąc dawanej im rekompensaty za utracone ziemie na wschodzie. Ale też z mówienia przez Niemców o tym wszystkim, Polacy nie powinni robić wielkiego szumu. Chyba, że Niemcy w taki lub inny sposób zaczęłyby podejmować kroki w celu odzyskania swoich dawnych "terytoriów wschodnich".

Tymczasem tak nie jest i obecne polskie władze zbyt histerycznie reagują na postępowanie niektórych Niemców, o "rewizjonistycznym posmaku". Zamiast takich reakcji, należało władzom polskim wyjść z "wyprzedzającym uderzeniem". Prezydent Kaczyński nie powinien był w Berlinie składać wizyty na końcu swoich inauguracyjnych podróży zagranicznych. Przeciwnie, powinna to być jego druga w kolejności wizyta po moskiewskiej (zakładając, że do moskiewskiej doszłoby). Jeśli bowiem Polska będzie mieć dobre stosunki z Rosją i Niemcami, to będzie to dla niej ważniejsze od pozostałych stosunków razem wziętych.

Stało się jednak inaczej, nie mówiąc już o tym, że wizytę w Berlinie prezydent Kaczyński po prostu "sknocił" od strony audiowizualnej. Zachowywał się jak zagubione i nieporadne dziecko, wyciągniętej do niego dłoni kanclerz Merkel długo nie podjął, coś tam mamrotał pod nosem, usta miał rozdziawione, ni to uśmiechem ni grymasem, a wreszcie nic konkretnego gospodarzom nie powiedział, choć podobno miał im wiele do powiedzenia! Niepotrzebnie też minister obrony narodowej Radek Sikorski wziął się za "robienie" polskiej polityki zagranicznej, porównując rosyjsko-niemieckie porozumienie w sprawie gazociągu bałtyckiego do paktu Ribbentrop-Mołotow i Locarno (chciał pewnie powiedzieć Rapallo, ale mu się poplątało). Epizod

ten powinien jednak być dla władz polskich ostrzeżeniem, że nie każdy z jej członków powinien uprawiać politykę zagraniczną!

Berlińska wizyta prezydenta Kaczyńskiego zamiast cokolwiek poprawić w nienajlepszych stosunkach polsko-niemieckich, tylko je dalej pograżyła. A ponieważ wkrótce potem doszło do polsko-niemieckiej "wojny medialno-dyplomatycznej", po tym jak prezydent Kaczyński gwałtownie i przesadnie zareagował na nazwanie go "kartoflem" przez satyryczne i mało w Niemczech znane pismo "Tageszeitung", więc dalekie od dobrych stosunki polsko-niemieckie tylko się jeszcze pogorszyły. Zwłaszcza kiedy władze polskie zażądały od władz niemieckich potępienia pisma, a polski prokurator zaczął je straszyć polskim sądem.

Kropką nad "i" tuż po tym incydencie, był następny i w swoich skutkach bez porównania poważniejszy. Chodzi mianowicie o niedopuszczalny afront, jaki sprawił prezydent Kaczyński kanclerzowi Merkel i prezydentowi Chirakowi, odwołując nagle swój udział w spotkaniu Trójkąta Weimarskiego, który miał się odbyć 3 lipca br. Za powód skreślenia swojego udziału, polski prezydent podał "niedomagania zdrowotne", ale z tego co można było wyczytać w prasie niemieckiej i francuskiej, pozostali dwaj uczestnicy niedosłęgo spotkania nie dali temu wiary. Nie byłoby więc nic dziwnego, gdyby do następnego spotkania Trójkąta Weimarskiego już więcej nie doszło, co byłoby ogromną szkodą dla interesów Polski. Sam fakt, że polski prezydent ma okazję do regularnego spotkania się z dwoma najsilniejszymi państwami Europy, powinien być przez niego pieczołowicie pielęgnowany, a nie w grubiański sposób odrzucany!

Co więcej, gdyby prezydent Kaczyński był wyrobiony dyplomatycznie i towarzysko, a nade wszystko znał biegle jakikolwiek język zachodni, to na spotkanie do Weimaru nie tylko powinien pojechać, ale jeszcze całą "kartoflaną sprawę", jeśli już chciał jakoś na nią zareagować, obrócić w żart! Pokazałby tym swoją klasę, a nie żenujące obraźnictwo! Prezydenta Busha różni karykaturzyści niemal codziennie i nie tylko w USA ośmieszają na różne sposoby, ale on na to nie reaguje. A polski prezydent reaguje i to jak!

Czarę goryczy w stosunkach polsko-niemieckich przepełniło już otwarcie przed kilkoma dniami wystawy w Berlinie "Wymuszone drogi. Ucieczka i wypędzenie w Europie w XX wieku" przez znaną dobrze Polakom leciwą Erikę Steinbach.

Wystawa, nie zorganizowana i finansowo nie wspierana przez rząd niemiecki, aczkolwiek przez niego tolerowana, nie jest poświęcona wyłącznie "wypędzeniu Niemców z Polski", ale niewątpliwie nie służy poprawie stosunków polsko-niemieckich. Problemem jest natomiast przesadna polska reakcja na wystawę. Ostro potępił ją premier Kaczyński, a nawet udał się do obozu koncentracyjnego w Sztutowie, co miało przypomnieć zbrodnie niemieckie na Polakach. Niechby nawet tak i było, ale po co Kazimierz Marcinkiewicz, dziś pełniący obowiązki burmistrza Warszawy, skreślił wyjazd do Berlina, gdzie miał jechać na zaproszenie burmistrza miasta? Podał jeszcze, że decyzję swoją uzgodnił z premierem!

Czy to nie przesada? Burmistrze biorą się do polityki zagranicznej Polski? A co będzie jak się do niej zabrają jeszcze i sołtysi?

Wystawa Eriki Steinbach, gdyby była przez władze polskie zignorowana, a co najwyżej zostawiona polskim historykom i dziennikarzom do jej krytykowania, mogłaby nie mieć w Niemczech echa, jakie ma teraz!

Tego rodzaju "wpadki międzynarodowe", zaistniałe już na początku PiS-owskich rządów, muszą prowadzić do wielu kłopotliwych refleksji. Tym bardziej, że już od pokoleń źle jest z

polską polityką zagraniczną. Tak było w Polsce międzywojennej, choć dziś próbuje się przedstawiać ją w pozytywnym świetle, jak i w Polsce powojennej. W PRL, ze względów oczywistych, polska polityka zagraniczna nie mogła być samodzielna, co jednakże nie oznaczało, że nie mogła stać na wyższym poziomie od strony choćby tylko czysto fachowej. Po nastaniu III RP nic w zasadzie nie zmieniło się na lepsze. Polska polityka zagraniczna jest przysłowiowym piątym kołem u wozu, a debaty nad nią na forum Sejmu ledwie przyciągają garstkę posłów, wypowiedzi ich są nijakie, a i referujący sprawę minister spraw zagranicznych też niewiele ciekawego ma do powiedzenia. Stąd też na polu polskiej polityki zagranicznej nie notuje się jakichś godnych uwagi osiągnięć, ale za to coraz częściej ma ona liczne gafy. A i z jej fachową stroną też nie jest najlepiej. Ten ostatni mankament wynika w decydującej mierze stąd, że do uprawiania polityki zagranicznej zabiera się właściwie każdy z wyższych funkcjonariuszy władzy wykonawczej. Zabiera się przede wszystkim prezydent, potem premier i niektórzy inni kierownicy resortów. Zabierają się też posłowie i senatorowie. Politykę zagraniczną "robią" jeszcze niektóre urzędy centralne, wyżsi funkcjonariusze władzy terenowej, biznes, środki masowego przekazu, a nawet poszczególne "osoby wpływowe". Jeśli jeszcze zważyć, że Anna Fotyga, nowy minister spraw zagranicznych, doświadczenia dyplomatycznego nie ma żadnego, a jak słyhać również ze znajomością języków obcych jest na bakier, więc o czym tu mówić? I żeby choć prezydent i premier byli "otrzaskani" w świecie, mieli jakie takie doświadczenie dyplomatyczne, byli towarzysko wyrobieni i znali języki obce!

A tak na marginesie, to aż dziw bierze, że prezydent, z tytułem profesora wyższej uczelni, nie zna żadnego obcego języka, zjawisko dziś nieznane w świecie. Premier z kolei, z doktoratem, z obcych języków zna podobno tylko rosyjski. Dobre i to, ale to nie wystarcza! Prezydentowi Lechowi Wałęsie, absolwentowi szkoły zawodowej, można było jeszcze wybaczyć nieznajomość języków obcych, choć z drugiej strony nie można mu wybaczyć, że ze swoją "wiedzą" pchał się na urząd prezydencki (z walną pomocą - przypomnijmy to - braci Kaczyńskich).

Aleksander Kwaśniewski, który nigdy nie powinien być polskim prezydentem, nie tylko nim był przez dwie kadencje, ale trzeba obiektywnie przyznać, że przynajmniej od strony znajomości obcych języków, pasował do swojej funkcji. Znał biegle rosyjski i angielski oraz całkiem niezłe niemiecki i francuski. Dzięki temu i talentom towarzysko-dyplomatycznym, był mile widziany przez innych szefów państw i rządów. Prezydent Bush był z nim nie tylko "na ty", ale zwierzył mu się ze swojego zamiaru zaatakowania Iraku, czego nikomu innemu, poza brytyjskim premierem, jeszcze wtedy nie powiedział. Z prezydentem Kaczyńskim, mimo że obaj wyznają te same "wartości", prezydent Bush za wylewny w lutowej rozmowie nie był i kto wie, czy ma ochotę spotkać się z nim jeszcze raz...

W sytuacji Polski, która do żadnych potęg nie należy (jeśli nie liczyć ziemniaczanej), głowa państwa powinna przynajmniej znać języki obce. Skoro ze względu na wagę Polski prezydent wiele na forum międzynarodowym dokonać nie może, to niech przynajmniej nie będzie "obcojęzycznym niemową"! Po co ma po sobie zostawiać zaściankowe wrażenie?

Prawda, kiedyś kanclerz RFN Kohl, jak i obecny premier japoński Koizumi, obcymi językami nie mówili, ale trzeciej i drugiej potędze gospodarczej w świecie coś takiego może ująć płazem, ale nie polskim prezydentem! Prezydenta Wałęsę wyjątkowo dobrze traktowano w świecie, gdyż chodziła za nim "solidarnościowa legenda", nie dyskutujmy już na ile prawdziwa.

Takiej taryfy ulgowej Polska już dziś nie ma i tylko szkoda, że jej obecni przywódcy jakby o tym nie wiedzieli.

Na ile zaś ten stan rzeczy wpływa na polską politykę zagraniczną, która coraz bardziej jest na bezdrożach, trudno na razie ustalić, ale jest niewątpliwym faktem, że jej z pewnością nie pomaga.

prof. Zdzisław M. Rurarz